

Wiesław Juszczak: Słowo o powołaniu

Bezgraniczność wędrówki w powołaniu, wędrówki ku celowi tego powołania zarazem i źródłu, stanowi o wolności każdej z takich dróg. Inaczej mówiąc: wysokość celu wyznacza miarę wolności. A miara ta rośnie wciąż i wciąż odsłania się tu przed nami możliwość bezmiaru – pisał Wiesław Juszczak w miesięczniku „Znak”.

Nie warunki, w jakich żyjemy, lecz cel, ku któremu zwrócone są nasze najżywotniejsze dążenia, określa naszą wolność. Jeśli tak mówię, to mówię zarazem, że wolność nigdy nie może stanowić celu dla siebie. I mówię również, że owe dążenia najżywotniejsze, jak je nazwałem, kierują się ku temu, czego nie może zamknąć w swych granicach żadna praktyka, czego nie daje się sprowadzić do uchwytywnej, wymiernej sfery zadań potocznych. Dążenia takie, albo raczej to jedno dążenie, przejawiające się w rozmaitych postaciach, najtrafniej określa się mianem powołania.

*Siła ta sprawia, że na tę drogę
muszę wejść, że idę nią bez
względu na przeszkody, że
chcę nią iść i że chcę nią iść
zawsze*

O powołaniu, o rodzaju i kierunku powołania nie ja sam decyduję, lecz właśnie ono: ta siła, która zdaje się czasem wewnętrzną siłą, ale której

faktyczne źródło jest na zewnątrz i która spoza mnie wyznacza mi drogę. Siła ta sprawia, że na tę drogę muszę wejść, że idę nią bez względu na przeszkody, że chcę nią iść i że chcę nią iść zawsze. Cel zatem takiego dążenia można sobie uzmysłwić jako ośrodek, z którego ta siła emanuje, skąd dobiega wzywający mnie głos. A to, że w kierunku owego głosu mam i chcę iść zawsze, znaczy, że droga ta nie ma kresu, że jest nieskończona. I znaczy to także, że cel mojego dążenia jest „praktycznie” nieosiągalny. Bezgraniczność wędrówki w powołaniu, wędrówki ku celowi tego powołania zarazem i źródłu, stanowi o wolności każdej z takich dróg. Inaczej mówiąc: wysokość celu wyznacza miarę wolności. A miara ta rośnie wciąż i wciąż odsłania się tu przed nami możliwość bezmiaru.

O wolności płynącej z powołania nie sposób orzekać, że jest wolnością „od czegoś” lub „do czegoś”, albo że tak lub inaczej ma się ona do konieczności, na przykład. Wolność ta urzeczywistnia się niejako „wśród” powołania, „wewnątrz niego”, a stąd nic prócz niego istotnie jej nie warunkuje. Jest ona nadto jego darem, i to darem nieoczekiwanym. Bo wejście na drogę powołania ma wszystkie znamiona zniewolenia. Jak wspomniałem: muszę to zrobić, muszę się temu poddać, muszę pójść za tym głosem. Niczego nie wybieram, o niczym naprawdę nie decyduję nawet. Moje decyzje wynikają dopiero z tego pierwszego gestu, z tego kroku, który czyniony jest nie tyle spontanicznie, co na ślepo. Lub raczej: w stanie oślepienia, w olśnieniu albo zachwycie. Co jest więc tym, co zachwyca? Na zawrotnej wysokości dostrzega człowiek pełnię tego, czego jakiś słaby ślad widzi może niekiedy blisko siebie, czego stłumioną obecność rozpoznaje czasem w sobie samym. I w porywie powołania – bo tak chyba najlepiej to nazwać – poświęca się pracy, która ma być nieustannym wstępowaniem, która jest wciąż ponawianą próbą osiągnięcia tej pełni albo przybliżenia jej. Jest to więc również ciągle przekraczanie własnej

kondycji, ciągła walka z jej ograniczeniami. Praca z powołania, czy w powołaniu, to nie tylko jednak heroiczne zmaganie się z własną małością: przede wszystkim to wyzwanie rzucone wielkości, nie z pychy, ale z tęsknoty.

Trzeba podkreślić, że w tej chwili mówimy tylko o „powołaniu do pracy”. I że jest to jeden z dwóch co najmniej aspektów powołania: taki, który je odnosi bezpośrednio do praktyki, który każe patrzeć na nie przez zadania życiowe określonego rodzaju, i który najdobitniej uzewnętrznia się w wyrażeniu „powołanie do zawodu”. Sądzę, że w wyrażeniu tym kryje się pewne nadużycie. Wiadomo, że nie do każdego zawodu można je zastosować, choć o „powołaniu do pracy” można mówić w każdym wypadku, gdy robienie czegoś powoduje lub wiąże się z pełnym zaangażowaniem osoby, która coś robi. Nie każdy jednak zawód licuje z takim określeniem, z tym słowem. Bo nawet najpotoczniejsze użycie tego słowa we wskazanym teraz sensie przenośnym i wtórnym zachowuje łączność z jakąś, wyniesioną nad inne dziedziny, sferą wartości.

Powołanie ujawnia się w działaniu, prowadzi do wyzwolenia aktywności o szczególnym natężeniu

Dodajmy na marginesie, że spośród zwrotów zbliżonych znaczeniem do tego wyrazu, za odpowiednie i na

pewno bliższe mu należy uznać „poczucie misji”, albo nawet „posłannictwa”, niż „wrodzoną skłonność” czy „uzdolnienie do czegoś”. A stąd jeszcze potwierdzenie już uczynionej obserwacji: powołanie ujawnia się w działaniu, prowadzi do wyzwolenia aktywności o

szczególnym natężeniu. Uzdolnienie, jako niewykorzystana możliwość, jako cecha sama w sobie, nic jeszcze o powołaniu nie „mówi” i niewiele lub nic nie ma wspólnego z nim.

Wspomniane zatem poczucie czy przecucie pełni i zarazem celu rodzącego powołanie to osobliwe doświadczenie wartości absolutnej. Właśnie tak chciałbym powiedzieć: wartości absolutnej, ideału wartości. Ale tak powiedzieć nie mogę: muszę tu użyć liczby mnogiej. Zmusza mnie, zmusza nas do tego cała tradycja, z której wyrastamy, w której jesteśmy zanurzeni. I zmusza nas do tego to, co nazwałbym analityczną ułomnością ludzkiego postrzegania i myślenia. Jeśli chcę jakoś wskazać na tę sferę, o której teraz mówię, muszę zarazem przedstawić ją jako złożoną lub podzieloną. Czytamy w *Filebie* Platona (64 E): „Jeżeli jedną ideą nie zdołamy uchwycić dobra, to ujmijmy je trzema: piękna, proporcji i prawdy”. I tak rzeczywiście pewno musimy postępować i postępujemy. A postępowanie takie odwodzi nas gruntownie od tego właśnie, do czego miało zbliżyć. Wszystko, czego dotykamy, ulega rozproszeniu, rozpada się i kruszy, i już na zawsze zapominamy o owym poczuciu jedności i pełni, z jakim może wkraczaliśmy na drogę poznania i mowy. O poczuciu, które może kazało nam właśnie na tę drogę wkroczyć.

Powtórzmy: w samym znaczeniowym ośrodku słowa „powołanie” odkrywamy coś, niby pęd ku jedności i pełni, ku jednoczącej pełni, w której znikają wszelkie podziały, różnicowania, opozycje. Kiedy więc powiadamy, dalej, że celem powołania jest sfera wartości, i kiedy zarazem powiedzieć musimy, że sfera ta jest co najmniej trójdzielna, że ideały wartości są trzy: prawda, dobro i piękno – stajemy wobec konieczności różnicowania powołań, wyodrębniania niejako wewnątrz

niego różnych dróg, prowadzących do celów różnych. I operacji takiej towarzyszy poczucie fałszu, naruszania czegoś najistotniejszego, czegoś, co tkwi właśnie w samym centrum sensu słowa.

Mówi się więc, że powołanie uczonego ma swoje źródło w umiłowaniu prawdy, że artysta tworzy ze względu na piękno, że lekarz albo nauczyciel czy wychowawca powodowany jest pragnieniem dobra

Dość rzadko jednak nasza refleksja na temat powołania obiera taki kierunek, rzadko wychodzimy tu z górnej dziedziny celów, by śledzić rozwidlanie się szlaków prowadzących w dół,

ku konkretnym zadaniom. Znacznie częstsze jest postępowanie odwrotne, w którym wszelki widok celu – jeśli nie gubi się bez reszty – zostaje na tyle przesłonięty albo zmacony, że się staje potocznie zrozumiały. Mówi się więc, że powołanie uczonego ma swoje źródło w umiłowaniu prawdy, że artysta tworzy ze względu na piękno, że lekarz albo nauczyciel czy wychowawca powodowany jest pragnieniem dobra. Na poziomie potocznej praktyki i języka potocznego, tam gdzie wykonywana praca różni ludzi, powstaje złudzenie wielości powołań, a cele ich, w miarę jak stają się coraz konkretniejsze, stają się też rozpoznawalne coraz łatwiej, aż się utożsamiają w końcu z wąsko określonymi zawodami. Lecz, nieustannie ulegając temu złudzeniu, musimy pamiętać, że pojęcie powołania poddane jest relatywizacji jakby dwustronnej. Bo wynika ona nie tylko ze zróżnicowania, z dyfuzji życiowych zadań i praktyki, ale ma też źródło w podziałach najwyższej sfery celów, w jawnej niejednorodności – jeśli tak wypada to nazwać – i w samej możliwości wyodrębniania transcendentaliów.

Skąd więc w słowie „powołanie”, nie tylko w jego zastosowaniach najgórnieszych, ale i w najbardziej przyziemnych, ta stale obecna siła lub wyraźny ślad siły ku jedności, skąd obecność owej – żeby tak powiedzieć – syntetyzującej mocy? Stąd, bez wątpienia, że w jego znaczeniu podstawowe i nienaruszalne jest to, co znaczenie to pierwotnie formowało: jego teologiczne funkcje. „Powołanie” jest bowiem najpierw, i w pierwszym swoim sensie, terminem religijnym.

Greckie słowo κλη̃σις zjawia się w tym szczególnym znaczeniu dopiero w Nowym Testamencie. A ściśle: ten sens odrębny ma tam jeszcze tylko w tekstach św. Pawła. Paweł wydobywa z owego rzeczownika, czy też nadaje mu, taki pojęciowy odcień, którego przedtem w nim nie było. I posługując się nim, stwarza i rozwija własną teologię powołania.

Kwestia narodzin tego sensu jest zbyt złożona by ją tutaj przedstawiać. Ale niezbędne wydaje się zwrócenie uwagi na parę związanych z tym spraw. Po pierwsze: rzeczownik κλη̃σις pochodzi od czasownika κλη̃σις, który znaczy „wołać po imieniu”, „nazywać”, „wzywać” lub „wzywać do siebie”, „zapraszać kogoś do domu” lub „na ucztę”, a potem oczywiście także i „powoływać”. Lecz właśnie w tekstach nowotestamentowych należy zachować wyjątkową ostrożność przy łączeniu tego ostatniego znaczenia z tym czasownikiem. Można wręcz zasugerować taką regułę postępowania: tam, gdzie czasownik κλη̃σις nie występuje w bezpośrednim albo bliskim sąsiedztwie z rzeczownikiem κλη̃σις, tam prawdopodobnie nie ma on nic wspólnego z „powołaniem” w znaczeniu omawianym teraz. Czyli inaczej: jest użyty w sensie „przedpawłowym”. Podobnie przymiotnik κλη̃τός („powołany”). Wspominam o tym, ponieważ w tak ważnym polskim przekładzie, jak Biblia Tysiąclecia, znajdujemy parę miejsc, w których słowa z tej

właśnie rodziny tłumaczone są niezgodnie z kontekstem, a to prowadzi do zasadniczych nieporozumień w interpretacji owego pierwotnego i podstawowego, teologicznego znaczenia terminu. Weźmy jeden tylko przykład. Ostatnie zdanie z przypowieści o ucztach weselnych, według Mateusza (22,14), w rzeczonym tłumaczeniu brzmi: „Bo wielu jest powołanych, lecz mało wybranych”. Z czego można by wnosić, że między powołaniem a wybraniem istnieje jakaś opozycja. Tymczasem w miejscu tym κλητοί to tylko „zaproszeni”, albo „zwołani” (na ucztę właśnie), za czym przemawia niezbita sama treść opowieści, bez wchodzenia w inne szczegóły.

To, co wydarzyło się na drodze do Damaszku, może być źródłem i obrazem najbardziej „wewnętrznego wymiaru” słowa „powołanie”

Po drugie:
niezależnie od tego, że już w archaicznej grece, w języku Homera, κλητός znaczyło też, między innymi „wybrany”, κλισις w pismach

Pawła jest jakąś formą „wybrania”. A to, że Paweł właśnie ustanawia nowy sens rzeczownika oznaczającego przedtem „wołanie”, „pozew sądowy”, „zaproszenie” lub „wzywianie na pomoc” – to musi się nam kojarzyć ze zwrotnym w jego życiu zdarzeniem. To, co wydarzyło się na drodze do Damaszku, może być źródłem i obrazem najbardziej „wewnętrznego wymiaru” słowa „powołanie”. Bo według Pawła powołanie łączy się z łaską wiary, otwiera nadzieję, jest obietnicą najwyższej nagrody, jest Bożym „wezwanym w górę”, jest święte. Tylko w momencie ustanawiania tego jedyne znaczenia, jak mówiliśmy, tylko w listach Pawła poznać możemy całą pierwotną siłę i cały porażający blask tego „nowego słowa”.

Po trzecie: wyjątkowo, w jedynym przypadku, w Pierwszym Liście do Koryntian (7,20), κλήσις oznacza jeszcze jakby „stan społeczny” lub „stanowisko”, „miejsce w życiu”, to miejsce, w którym się człowiek znajduje, gdy spada nań powołanie: „Każdy niechaj wytrwa w tym stanie, w jakim zastało go powołanie do wiary” (tym „do wiary” cytowany tu przekład Wolniewicza wyraźnie ukierunkowuje, uściśla faktyczny sens „powołania”). A przeto takie znaczenie wyraźnie się objawia w stosowanym w pewnych przypadkach powiedzeniu „powołanie do stanu” (choć tutaj, w tym wyrażeniu, odnosi się to do czegoś właśnie innego niż tam: do zmiany miejsca w życiu za przyczyną powołania). Kiedy więc mówimy o powołaniu do stanu kapłańskiego lub zakonnego, używamy tego terminu w sensie zbliżonym najbardziej do tego podstawowego sensu.

Można więc teraz sformułować pytanie takie: czy, mając na względzie artystyczną twórczość, sztukę, powiedzieć wypada, że w jej obrębie dojść może do powołania „do zawodu”, czy „do stanu”? Jaki „stopień metaforyzacji” należy zastosować, jak daleko należy odejść od pierwszego, religijnego znaczenia „powołania”, by je móc już odnieść do sztuki? Jest to jeszcze jedna postać tego rodzaju pytań, jakie stawiamy w żywych dziś – może za żywych, bo aż modnych – dyskusjach o wzajemnym stosunku sztuki i sacrum, lub o „sakralności” sztuki. I, jak to wynika z poprzednich uwag o powołaniu i o płynącej z niego, na nim ugruntowanej wolności, jest to też pytanie o wolność sztuki albo w sztuce.

Pytamy raz jeszcze: czy sztuka (pojęta jako tworzenie) jest zawodem? Bo prowadzę najpierw do tego, że nie tylko zapominamy dzisiaj o tym, że nie może się ona urzeczywistniać inaczej, jak w „wysokim”

Potoczne i powszechne rozumienie sztuki więźnie w końcu w podziałach, za które już odpowiedzialna jest tylko organizacja szkolnictwa artystycznego, na przykład, albo decyzje administracyjne jeszcze niższego poziomu

powołaniu, ale że ją, sztukę, tworzenie, widzimy przede wszystkim jako rodzaj zawodu, jako „zawód artysty”, a w dodatku nie jako jeden wspólny dla wszystkich, których by z „powołania” dało się rozpoznać, lecz jako nie kończący się szereg

wyspecjalizowanych i oddzielonych wzajem od siebie zawodów. Potoczne i powszechne rozumienie sztuki więźnie w końcu w podziałach, za które już odpowiedzialna jest tylko organizacja szkolnictwa artystycznego, na przykład, albo decyzje administracyjne jeszcze niższego poziomu. Jak w takich uzależnieniach próbując rozpoznać to, co jest tam, a co nie jest sztuką, można i godzi się mówić o jej wolności? Wolności w tym „czymś”, co na poziomie spisu zawodów figuruje jako zawód artysty, co może być społecznym fenomenem i społecznym problemem. A twórczość, właśnie w swej istocie, nie jest fenomenem społecznym. Wolność sztuki traktowanej tylko jako zawód sprowadza się do i zasługuje na miano pewnej „swobody życiowej” uprawiającego ten zawód człowieka. I taka „wolność” jest wolnością od okoliczności zewnętrznych lub wolnością do nich. Bywa więc rozdarta między bieguny anarchii oraz konwencji, panującej mody. Raz to jest wolność udająca sztukę jako swój cel, a mająca na celu tylko chaotyczną postać samej siebie: wolności dla wolności. A raz znów mieć może na celu inny pozór: pozór wolności streszczony w słowie „sukces”.

Ażeby się czegoś dowiedzieć o tym, jak sztuka w swej istocie jest, i jak należy „być w sztuce”, aby naprawdę istniała, trzeba się cofnąć do ulegających relatywizacji, podatnych na relatywizację sposobów użycia słowa „powołanie”, cofnąć się ku omówionemu tu jego pierwotnemu znaczeniu, sprawdzić ją tylko wobec niego. Oczywiście, nie jest to jedyny sposób dociekania autentyczności tworzenia artystycznego, dochodzenia czegoś, co najgłębiej ustanawia jego charakter i przebieg. Ale jest to na pewno jeden z takich sposobów i ten chciałem tu tylko z oddali pokazać.

Jeśli odrzucam więc – w takiej perspektywie, jak tu przyjęta – odrzucam możliwość mówienia o sztuce jako o jednym z zawodów (o „tworzeniu jako zawodzie”: to brzmi absurdalnie i tym samym mocniej uzasadnia takie stanowisko) – jeśli w obliczu powołania sztuka może być tylko s t a n e m, który przez powołanie właśnie jest określany, to muszę zapytać na koniec, jak ona obszarem powołania być może. Albo: co sprawia ostatecznie, że nim jest?

Najogólniej rzecz przedstawiając, i z wielu przyczyn nie mogąc tego tu dalej rozwijać, powiem tylko, że odpowiedź (dalej udzielana tu w trybie hipotez) powinna być taka:

Najpierw, żeby sztukę zrozumieć, jak gdyby usłyszeć ją poprzez hałas panujący w tej dziedzinie, która dziś uzurpuje sobie prawo do miana twórczości (czyli sztuki, powtarzam), trzeba się po jej śladach cofać nieustannie aż do jej początków. I właśnie wszelki początek sztuki świadczy o tym, że wyłania się ona wprost z kultu, że jest jego narzędziem albo jego formą. Że rodzi się z religijnych potrzeb albo dla

religijnej potrzeby. Mówiąc inaczej: istnienie sztuki jest zwykle pierwszym i przez długie tysiąclecia kultur przedpiśmiennych j e d y n y m świadectwem istnienia religii. Jakiejś religii i każdej religii. I już to zbliżyć ją winno do sfery najwyższego powołania. A w każdym razie to musiało w niej na zawsze zostawić ślad taki, który zawsze odnajdziemy wśród jej niezmiennych cech.

*Istnienie sztuki jest zwykle
pierwszym i przez długie
tysiąclecia kultur
przedpiśmiennych jedynym
świadectwem istnienia religii*

I po wtóre:
powiedziałem
wcześniej już, że
powołanie wyzwala
aktywność o
szczególnym
napięciu, oraz że
„powołanie”

oznacza, że znaczenie tego słowa wskazuje nie tylko na dążenie ku wartościom absolutnym, ale na to, co – wyżej jeszcze, ponad ich sferą (lub nawet w samej ich sferze) – ma je zjednoczyć, scalić w jedno już niepodzielne, w ów niewysłowiony „kształt”, który z braku innych określeń nazwałem pełnią. Innymi słowy: powołanie jest dążeniem do jedności. I właśnie sztukę prawdziwą, taką sztukę, która naprawdę istnieje, rozpoznajemy po tym, że dociera do tego punktu lub takiej granicy, poza którą już nie ma „rzeczy różnych”, poza którą nieomal dotykalne zdaje się to, że *wszystko* jest jednym.

Sztuka, która jest obszarem powołania i stąd obszarem wolności, jest taka dlatego, że jest poznaniem. Jest takim poznaniem, które swój cel, spełnienie swoje osiąga w momencie, gdy w poznawanym zjawisku,

rzeczy, w jakimkolwiek przejawie rzeczywistości odkrywa to, co niepoznawalne właśnie. Odkrywa – i jako tajemnicę najgłębszą stawia nam przed oczy tajemnicę życia.

Jedynym „przedmiotem” takiego poznania, poznania przez sztukę, jest rzeczywistość. Lecz – by zacytować Claudela – „nie tylko rzeczywistość dostępna naszym zmysłom, ale totalna rzeczywistość rzeczy «widzialnych i niewidzialnych»”.

Marzec – maj 1987

Wiesław Juszczak, *Słowo o powołaniu* [w:] Tenże, *Fragmenty. Szkice z teorii i filozofii sztuki*, Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 2017, s. 91-99